

Magdalena BAJER

TRWAĆ WE WSPÓLNOCIE

Trwanie we wspólnocie Kościoła jest takim oto trudem. Trzeba weń zaangażować umysł, to znaczy pomnażać naszą ubogą zwykle wiedzę religijną. Trzeba trudzić sumienie, musimy na nowo uczyć się go używać – bez skłonności do relatywizowania wyroków serca.

Słowa kończące spotkanie Ojca Świętego z ludźmi kultury, w Kościele św. Krzyża 13 czerwca 1987 roku, były cytatem z Norwida: „...by się zmartwychwstało”. Tego nam życzył tam zgromadzonym, na koniec, ale przedtem dobitnie, choć niełatwo, wyłożył, jaki w zmartwychwstaniu narodu udział mieć mamy, my służący narodowi poprzez zespalanie prawdy i piękna – rozmaitymi sposobami, wedle talentów, w które uposażył nas Stwórca.

Od tamtej chwili wiek minął w życiu narodu polskiego i nieraz, a coraz śmielej, mówimy sobie, że zmartwychwstaliśmy przecie, że się proroczymi okazały słowa poety powtórzone przez poetę-Pasterza.

Boję się czasem tej śmiałości i niechże mi wybaczona zostanie odrobina przesądu tkwiąca na spodzie owego lęku. Więcej go, niestety, z przyglądania się samym sobie w chwili, która rozpoczyna epokę ogromnego, po zmartwychwstaniu, trudu, z przyglądania się także drodze, jaka przed nami i nam samym u początki drogi – czy ją dobrze widzimy? czy na niej pewnie stoimy? Bo ruszyć wkrótce trzeba.

Mówiąc do zgromadzonych w Kościele św. Krzyża Jan Paweł II przedłożył wielkie zadanie. Zobaczyłam je lepiej czytając później tekst wydrukowany, czytając go także teraz, niż w tamtej niezwykłej godzinie. Zaczął od przypomnienia słów zapisanych w Dziejach Apostolskich: „Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba, i w modlitwach”. Trwali... Zawiesiwszy głos dodał po chwili: „Pragnę to jedno słowo «trwali», słowo świadczące o historycznych początkach Kościoła, odnieść do nas tutaj zgromadzonych”. Słuchaliśmy tego wówczas jak krzepiących słów otuchy przede wszystkim, podniesieni porównaniem ileż większym nad zasługi nawet tych, co trwali na modlitwie w więzieniach albo mogli wyłącznie na modlitwie trwać pozbawieni prawa do pracy wśród ludzi, możliwości umacniania innych w trwaniu, pełnego uczestnictwa we wspólnocie.

Gdyby tylko tyle niosło tamto odwołanie, byłoby to wiele, bardzo wiele dla nas słuchających. Myślę jednak, że znaczenie tych słów jest znacznie szer-

sze i bogatsze, że nie były i nie są jedynie „historyczną” pociechą dla strapionych służebników słowa.

Przykazane nam *t r w a n i e* dopiero teraz ujawnia całą pełnię *t r u d u*, jakim być musi, jeśli chcemy to przykazanie wypełnić. Czekają nas trud umysłu, sumienia i serca, jeśli prawdziwie chcemy trwać we wspólnocie Kościoła. Próbując te trudy pokrótce opisać będę odnosiła swoje spostrzeżenia do środowiska znanego mi, tj. dziennikarskiego, którego może nie wolno umieszczać w centrum kultury, bo dziennikarze kultury nie tworzą, ale przyczyniają się do wypełniania duchowej przestrzeni, w jakiej żyje naród, emanacją najtęższych jego umysłów i największych talentów.

Czymże miałyby być nasze dzisiaj trwanie, skoro już przetrwaliśmy czas zwycięskiej utopii oraz wiele doraźnych indywidualnych zagrożeń? Myślę, że ono się dopiero zaczyna i czuję, że nie dość jasno odpowiadamy sobie na powyższe pytanie. Najcięższym spustoszeniem, jakiego utopia komunistyczna dokonała jest zachwianie pewności, że istnieją w ludzkim doczesnym życiu *w i e c z n o t r w a ł e* zasady, reguły, kryteria.

Oddzielenie sumienia jako wewnętrznej miary uczynków oraz intencji człowieka od Dekalogu i Ewangelii (poprzez ateizujące wychowanie i także oddziaływanie oficjalnej propagandy przez cztery z górą dziesięciolecia) sprawiło, iż wielu z nas nie może dzisiaj być niezachwianie pewnymi własnego sumienia. Musimy odtwarzać, a wielekroć jest to nader ciężkie i mozolne, intymne związki między własnym wewnętrznym drogowskazem, a ową miarą najwyższą, która jest poza nami, a została nam dana. Trwanie we wspólnocie Kościoła jest dzisiaj takim oto trudem. Trzeba więc zaangażować umysł, jak mówiłam, to znaczy pomnażać naszą ubogą zwykle, wiedzę religijną. Trzeba trudzić sumienie, musimy na nowo uczyć się go używać – bez skłonności do relatywizowania wyroków sumienia i serca, gdyż powinniśmy je coraz szerzej otwierać ku innym, wypierając resztki (czasem to jest bardzo dużo) nawyku walki, jako podstawowej relacji między ludźmi.

Wszystko to zapewni nam albo umocni nas w *t r w a n i u*. Ojciec Święty mówiąc: „trwajcie” nie myślał o tłumnym przyjsciu do kruchty lub w pobliże ołtarza, choć zauważył i docenił to zjawisko. Myślał, jak sądzę, że mamy *k o n t y n u o w a ć* dzieje Kościoła na ziemi zapoczątkowane w Wieczerniku dwa tysiące lat temu. Wyróżnił nas ogromnie takim zadaniem i swoją wiarą, iż może je nam powierzyć. Przyjęliśmy zadanie wtedy kiedy tyle okoliczności ograniczało nas w jego wypełnianiu. Czy pamiętamy o nim teraz kiedy zdaje nam się żeśmy zmartwychwstali? Byłoby pychą potaknąć temu pytaniu. Byłoby lekkomyślnością sądzić, że zmartwychwstanie już się dokonało.

Nie obudziła się w nas jeszcze miłość, którą musimy odpowiedzieć na umiłowanie nas do końca przez Stwórcę. Ojciec Święty pokazał jej źródło mówiąc o osobliwych związkach między prawdą, miłością i pięknem, o ich integralnej jedności w Eucharystii. Trudne rzeczy mówił wtedy w kościele św. Krzyża: „Wspólnota skupiona przy Apostołach, która trwa «w łamaniu

chleba», stara się zarazem spojrzeć na siebie, na swoje życie i powołanie w świetle tych słów, które mówią o Chrystusie. I mówią równocześnie o Eucharystii. Czy wystarczy ją tylko przyjmować? Ona jest pokarmem – a więc trzeba z niej żyć”.

Jakże to odnieść do doraźności naszych zatrudnień, także tych żurnalistycznych? Starania prowadzą zazwyczaj do powierzchownego umacniania wątków cnót, do przelotnych aktów skruchy. Głęboki związek prawdy z miłością, choćby „spragmatyzowany” w przeświadczeniu, iż wierność prawdzie wymusza na człowieku jakiś ślad miłości i ten ślad się utrwała – przeżywamy w przelotnych iluminacjach. Pragniemy, by Eucharystia była nam pokarmem. Myślę, że możemy się do tego zbliżyć pamiętając i uprzytomniając sobie wciąż na nowo to właśnie, że Zbawiciel „do końca nas umiłował” – bez granicy i bez rachuby, nie za zasługi ani mimo ułomności. Ze swej boskiej istoty, którą jest miłość właśnie. To niepojęte, a przecież na Jego miłość możemy próbować odpowiedzieć tylko wtedy gdy będziemy próbowali zrozumieć. Ponawianie takiej próby jest chyba rdzeniem ethosu chrześcijańskiego. I czy to można robić pośród rozlicznych, tak bardzo rozprasających, ziemskich robót, które, w dodatku, nam pracującym słowem – dziennikarzom – ciągle niosą pokusę pychy? Nie wiem. Lektura tekstu Ojca Świętego wypowiedzianego do ludzi kultury upewnia mnie o powinności. Warto ją ponawiać, bo pomaga stanąć na drodze i spojrzeć przed siebie i ... zobaczyć kres, ten ziemski, który jest tylko zaznaczoną na bożej mapie kreską. Dla wielu, co błądzili po manowcach, jest to pomoc niezbędna. Podtrzymuje i upewnia, ale także ośmiela, pozwala zbliżyć się do pobocza bez lęku, że znów się pobłądzi, a sięganie ku poboczom i ku manowcom jest przecież ważnym obowiązkiem tych, którzy mają wyjaśniać, przybliżać, oświetlać.

Myślę, że miłość i piękno, jeśli w ogóle mogą istnieć bez owego intymnego zespolenia z Prawdą, o którym mówił Jan Paweł II – są wtedy bardzo narażone na okaleczenie, zdeformowanie, spustoszenie. One też zostały rozpaczliwie spustoszone w nas samych i przez nas nierzadko, bośmy się dawali poprowadzić ułudzie.

Kiedy już o tym wiemy wolno nam mieć nadzieję, ale nie pewność jeszcze żeśmy zmartwychwstali. Norwid pisał, a Ojciec Święty przypomniał jego słowa: „...piękno na to jest, by zachwycalo do pracy – praca, by się zmartwychwstało”. Praca rąk słabe przyniesie wyniki, jeśli duch ludzki jej nie ożywi, ale i duch zleniwieć może. Dotknęło nas jedno i drugie zło. Długo musimy trwać w trudzie i ducha i rąk żeby jego skutki usunąć. W kościele św. Krzyża 13 czerwca 1987 roku otrzymaliśmy do tego wskazówki.